

ARNOLD BENNETT.

## WIDMO

12

— To nieprawda, Rozo — odpowiedziałem spokojnie. — Zaprosiłaś mnie na tę przejażdżkę po prostu w tym celu, by mnie okłamać. Ale marna z ciebie kłamczyni... nie umiesz kłamać... Drogie dziecko, czyż ty myślisz, że ja nie przenikam twojej niewinnej intrygi? Pani Sullivanowa Smith coś ci opowiedziała i tobie przyszło na myśl, że jeśli mnie odrzucisz, uciszysz tem gniew tego... tego... a mnie ocalisz przed losem Alreski. Jechałaś do Emmeliny, ażeby jej się ostatecznie poradzić, gdyż ona, zdaje się, wmieszana jest w tę sprawę. Spotkawszy mnie jednak, zdecydowałaś się od razu zdobyć na odwagę i dać mi odpawę. To było bardzo zacne i bardzo szlachetne z twojej strony, Rozo. A jednak to być nie może. Nic miłości mej zachwiać nie może. Jeżeli umrę pod działaniem jakiegoś tajemniczego wpływu, no to umrę. Ale umrę, kochając ciebie i pewien zupełnie, że ty mnie kochasz wzajemnie!

Pierś jej falowała przyspieszonym oddechem, a ręka przesunęła się do mojej i ujęła ją serdecznym uściskiem. Nie patrzeliśmy na siebie. Zdławionym głosem zawołałem na stangreta i kazałem mu stanąć. Wysiadłem. Potoczył się dalej.

Gdybym był dłużej z nią pozostał, byłbym się rozplakał... w oczach publiczności...

Nie jadłem obiadu tego wieczora, lecz spędziłem przedwieczorne godziny, przechadzając się tam i z powrotem po zielonych alejach w pobliżu Are de Triomphe.

Pewien byłem miłości Rozy i ta myśl mnie nieco krzepiła. Jednakże być pewnym miłości kobiety, jeżeli miłość ta nieść ma za sobą mękę i śmierć — nie jest to zaiste szczęście całkowite, ani szczęście doskonałe. To też serce moje przepełniała gorycz i rozpacz, a w duszy nędzna słabość gościła. Litowałem się nad sobą i równocześnie gardziłem sobą...

Toć ostatecznie duch nie miał rze czywistej władzy nademną; duch nie może uderzyć, zadusić, zastrzelić... Duch może działać tylko na duszę, a jeżeli dusza tak jest słabą, że pozwala działać na siebie niedotykalnemu złudzeniu, to wtedy...

Ale jakżeż marne były te dowodzenia! Czembądź by była ta potęga, fakt, że duch ten miał władzę nademną, nie ulegał wątpliwości. Przez cały dzień, jak miecz zawieszony nad głową, czułem wpływ tego widma nad sobą. Miałem dowód na to choćby w tem, że tak niechętnie i z takim ociąganiem się powracałem do hotelu. To, co mnie poprzedniej nocy spotkało, mogło być czysto subiektywnym przywidzeniem, hallucynacją zmysłów, złudą mojej wyobraźni... nie mniej dla duchowego życia mojego było to czemś realnem, a przeto złowieszczem, zgubnem.

Przyszła mi nawet na chwilę myśl, że może lepiej będzie nie wracać wcale tej nocy do hotelu.

Ale na co przydać się może takie unikanie? Przecież widma żadne więzy nie wiązały z tym straszonym moim salonikiem! Przecież mogło mnie dręczyć wszędzie, choćby i tutaj, na bruku ulicznym...

Więc lepiej już wracać do własnego mieszkania...

Ach, stokroć gorzej... odczuwałem jakieś bolesne pragnienie ujrzeć copędzej miejsce moich tortur...

Powróciłem tedy. Była jedenasta. Widmo czekało na mnie. Tym razem jednak nie siedziało w fotelu.

Stało owo widmo plecami do okna zwrócone i w chwili, gdy wchodził, spotkało wzrokiem mój wzrok.

Nie zamilknęłam drzwi, oczu nie spuściłam z jego twarzy. Uśmiech na cienkich jego wargach jeszcze był bardziej szyderskim, jeszcze wyraźniej szatańsko triumfującym, niż przedtem. Wyprostowane, nieruchome, nieublagane stało tam widmo i zdawało się mówić:

— Dlaczego drzwi zostawiasz otwarte? Przecież

i tak nie ośmielisz się uciekać. Nie ujdiesz z przed mego oblicza. Dziś jeszcze umrzesz ze strachu... z prostego strachu.

Z dużą zuchwałością siadłem w tymsamym fotelu, w którym ono wpierw siedziało i zaczęłam palcami bębnić w stół. Potem zdjąłem kapelusz i starannie celując, rzuciłem go na pobliską sofę. Sililem się okazać, że nic mnie nie obchodzi. Ale z chwili na chwilę, tak jak dnia poprzedniego, opuszczała mnie odwaga, tą mistyczną obecnością płoszona.

Naraz zerwałem się, natchniony świetną myślą. Zbliżyć się oto do tej zjawy... postaram się jej dotknąć. Jeżeli to uczynię, ona zniknie; byłem tego pewien, że zniknie...

Wstałem przeto, ale nie zbliżyłem się do ducha. Nie mogłem wprost poruszyć się, nie mogłem kroku uczynić. Niewypowiedziany strach ubezwładnił mnie doszczętnie.

Opadłem bezsilnie na fotel.

I znowu ponowiły się przeżycia wczorajszej nocy, jednakże z większym natężeniem i srożej dręczące.



Padłszy na kolana przed zjawiskiem, podniosła kn straszemu widmu oblicze.

I znowu w męce mojej szukałem ulgi, usuwając się do sypialni; i znowu ten sam niewytłomaczony, przemożny lęk wypędził mnie stamtąd i zmusił do powrotu. I znowu padłem zmiażdżony nową i okropniejszą jeszcze grozą, jak gdyby kłutwą, jak gdyby nieludzką jakimś świętokradztwem. Ale teraz widmo jęło sunąć ku mnie tajemniczo, złowieszczco... Instynktowym odruchem obrony, choć skulony i tulący się do ziemi, podniosłem rękę, chcąc je odegnąć... Napróżno! Zbliżało się coraz bardziej i coraz bardziej, jakimś niedostrzegalnym ruchem...

— Pozwól mi umrzeć w spokoju — szepnąłem w duszy.

Lecz ono tego nie chciało. Nie tylko chciało, bym umierał, ale chciało, bym przeszedł przed śmiercią wszystkie te duszne męczarnie i udręczenia, które duch zatracony sam przeszedł w swoich wędrówkach... Stało nademną, groźne, jak przeznaczenie. Wtem nagle spojrzało ku drzwiom i nibyto zachwiało się...

Drzwi poruszyły się w zawiasach.

Weszła dziewczyna młoda... dziewczyna w żałobie, której blada twarz i szyja odbijała śnieżną białością od czarnej sukienki; dziewczyna o niebiańskiej twarzyczce. Padłszy na kolana przed zjawi-

skiem, podniosła ku straszemu widmu temu oblicze, przemienione ekstazą najgorętszego błagania.

Była to Roza...

Czyż ja potrafię opisać to, co nastąpiło potem? Mogę to ledwie nieudolnymi słowy zaznaczyć...

Tych dwoje patrzyło na siebie, Roza i ten cień widmowy. Roza nie przemówiła ani słowa. Ja jednakże w osłupieniu mojem zrozumiałem teraz, że ona wstawia się za mną, że błaga o moje życie. Słodkie jej oczy przemawiały do ducha człowieka, który ją kochał za życia — do wspaniałomyślności jego — i w imię tej miłości i tej wspaniałomyślności wzywały go, by zaniechał zemsty okrutnej, której ja padałem ofiarą.

Długo... bardzo długo widmo poważnie, surowo, niewzruszenie wpatrywało się w dziewczynę. Drżałem, nadzieją i rozpaczą miotany, a tak niepewny wyniku...

Ona jednakże nie mogła uleść w tej walce. Miłość jej silniejszą była, niżeli jego nienawiść. Miłość jej nie znała trwogi. A mnie się zdawało, że noce za nocami mijają i że wieki już całe trwa ta walka ich dwojga, ta śmiertelna walka.

Wreszcie nieśpiesznym gestem ustepstwa, widmo skinęło ręką, groźne oblicze jego złagodniało w wyraz zezwolenia i zwolna zbladło, rozwiał się... znikło.

Nademną leżącym pochyliła się Roza, ramionami otoczyła mi szyję i poczułem na twarzy pieczęć jej włosów i ciepły chrzest jej łez... radosnych łez...

Wzruszenie jednak okazało się zbyt silnem. Nagle odbiegły ją wyteżone siły — omdlała.

Podniosłem ją ostrożnie. Ułożyłem ją na sofie i w spokojnem, błogiem oczekiwaniu wyglądałem chwili, gdy otworzy oczy.

Nie umiem tu opisać uczucia nieskończonej ulgi, które rozlało się po całym moim jestestwie na myśl, że już nie jestem ofiarą, nie jestem niewolnikiem złej i nieublaganej mocy, lecz człowiekiem wolnym — człowiekiem, któremu żyć wolno... kochać wolno... któremu grozić przestały złe wpływy nieuchwytnych potęg. Zrozumiałem, że od chwili pierwszej wizji, którą dojrzałem w kryształowej kuli, gdy przy pomocy Emmeliny Smith i za jej przewodem zajrzeć pragnąłem w tajniki nieznanej przyszłości — zrozumiałem, że od tej chwili nad życiem mojem zawisł jakiś cień, cień coraz złośliwszy i coraz gęstszy i że cień ten rozwiał się teraz cudownie przed świtem nowego dnia.. I dzięki składałem z pełnego serca nie tylko losowi, ale tej dziewczynie, która natchnieniem i siłą miłości, oswobodziła mnie, zdjęła z mej duszy to złowieszcze opętanie.

Powieki Rozy zadrzały. Spojrzała na mnie.

— Niema go już?... — zapytała.

— Niema — odpowiedziałem. —

Zdjęto z nas kłutwę!

Uśmiechnęła się słodko i już tylko nasz wzrok płomienny mówił...

— Jak się to stało, że ty tu przybyłaś?

— Wieczorem po obiedzie, siedziałam w swoim pokoju i tak myślałam... myślałam o tobie. — I nagle tak żywo ujrzałam ten pokój i ciebie i to widmo... tak żywo ujrzałam to wszystko, jak oto ciebie widzę w tej chwili. I odczuwałam cały twój lęk — przeniknęłam każdą myśl twoją i wszystkie twoje męki! I wtedy, wtedy, jakgdyby mnie natchnienie szczęśliwe nawiedziło... Wszakże ja nigdy lorda Clarenceux za życia o nic próżno nie prosiłam... wszakżeż on mi nigdy niczego nie odmówił... Czemużbym nie miała i teraz zanieść do niego prośby?... Zarzuciłam szal na ramiona i wybiegłam. Nie wzięłam dorożki, biegłam cały czas. Zaledwie wiedziałam, co czynię — wiedziałam tylko, że muszę cię ratować... O Karolu! wolny jesteś!

— Tyś mnie uwolniła! — odpowiedziałem.

Ucałowała mnie, a ten pocałunek tchnął nie tylko czystą miłością dziewczęcą, ale i rzewną tklivością matki.

— Odprowadź mnie do domu! — szepnęła.